

# Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

7 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Dlatego skazano go na dożywotne więzienie.

— Oj, tak — zakończyła pani Wilding — ale wiecie może, kto zdradził mego biednego męża? Nie byłby go nikt dostał na całym świecie, bo mój Emil był chytry, jak lis, ale jest tu jeden tajny szpicel, Stein się nazywa, o, to pies! — on to zwał — chał i on to aresztował mego Emila! Żeby tak mogła tego draba dostać w swe ręce, zamęczyłabym ze zimną krwią, jak psa! Wszystko mi jedno, choćbym za to miała pójść do piekła!

Mówiła to z taką wściekłością i oburzeniem, oczy błyszczały jej takimi piekielnymi blaski, że starzec musiał uwierzyć, iż ta kobieta spełniałaby swoją groźbę przy najbliższej nadarzającej się sposobności.

— Muszę wam jeszcze jedną rzecz opowiedzieć, moi głóci — zaczął znowu starzec drżącym ze starości głosem — i ja się przez tego psa dostałem za kratki. Ja podrabiałem pieniądze — no, mój Boże, czy to znów taka wielka zbrodnia, jeżeli się podrobi parę banknotów, to przecie kosztuje roboty. — Któż wywahał, że to ja właśnie tem się zajmuję? Któżby, jak nie Stein?! Dostałem za to sześć lat kryminalu. Możecie mi wierzyć, że jak go kiedy dostanę, to tego psa utłukę! Ale chciałem się was jeszcze o coś zapytać. — Nie macie przypadkiem jakiej izby do wynajęcia?

— No, no, możecie u mnie mieszkać. Zdaje mi się, że jesteście zmęczeni, więc was zaraz na nocleg zaprowadzę.

Wzięła lampę i kazała staremu iść za sobą. Zaledwie jednak uszli parę kroków, kiedy stara uczuła nagle na ramieniu silną jakąś rękę i usłyszała groźne słowa:

— Ani pisać, bo jesteście zgubieni!

Krzyknęła i cofnęła się przerażona.

— Zaprowadź mnie do izdebki, w której więzicie kobietę, wczoraj tu przyniesioną — rozkazał stary, wyciągnawszy nagle rewolwer.

— Ha! — wrzasła stara, a oczy, zdawało się, rozsadały jej czaszkę za chwilę. — Toś ty detektyw Stein!

— To nic nie ma do rzeczy! Dalej! Prowadź mnie do niej!

Stara ani się nie ruszyła.

— No, prędzej, prędzej! Czego się ociągacie? Słuchać, albo złe się to dla was skończy! A jeżeli mnie chcecie podejść, to zwracam wam uwagę, że cały dom jest otoczony policją!

— No, to chodźcie — mruknęła, mierzając go nienawistnym spojrzeniem.

Zeszła po schodach na dół, otworzyła piwnicę — stary szedł za nią. Na dole postawiła lampę na schodach, odsunęła rygiel od bocznych drzwi i syknęła:

— Tutaj jest!

— Idźcie naprzód! — rozkazał komisarz Stein, bo on to był w istocie. Usłuchała.

Zgniłe, stęchłe powietrze wypełniało piwnicę. Stein był wściekły z oburzenia, że taka stara wiedźma więzi w takim obskurnym lochu delikatny kwiatek wielkowiejski, jakim bezwątpienia musiała być nieznajoma dama.

— No chodźcie! — zawołała stara.

Zaledwie jednak przeszedł przez próg, drzwi za nim nagle się zamknęły, lampa zgasła — w tej chwili uczuł, że bieżąca mu się pod nogi usuwa, wreszcie grobowia ciszę przerwał straszliwy krzyk, jaki się wydarł z jego gardła.

Ostatnim dźwiękiem, jaki jeszcze słyszał, był głośny, szyderczy śmiech starej wiedźmy.

Stała ona tuż obok otworu, zacierała ręce z radości i syczała:

— Ha, nareszcie się pomściłam! Mój drogi, kochany Emilu, żebyś ty mógł zobaczyć, jak twoja żona umie się mścić na tym, który cię do kryminalu wpakował!

Zapaliła na nowo lampę i zaświeciła nad otworem. Wprawdzie światło jej nie rozjaśniło zupełnie ciemności, jakie panowały w dole, ale koście oczy starej zdolały jednak rozpoznać na ziemi w głębi piwnicy ciemne kontury jakiejś leżącej postaci. Po chwili uszu jej dobiegł głuchy jęk.

— Aha, przychodzi do przytomności — mruknęła do siebie i roześmiała się szatańskim śmiechem. — Przebudź się z omdlenia, ocknij się! Nie zaszkodzi, jeśli się od razu dowiesz, jak straszną

śmierć ci gotuje. Prawdopodobnie nadejdzie tu jeszcze mój syn. On dzieła zemsty dokona!

A po chwili dodała szyderczo:

— I jemu się zdawało, że potrafi podejść kobietę, taką, jak ja! Hi hi!

Pokaszlując odeszła z nad otworu z lampą w ręce, ucieszona, że ma nareszcie w swej mocy najzaciętszego wroga.

Otwór, do którego Stein wpadł, był wąski i zaledwie tak szeroki, że dorosły mężczyzna mógł się w nim ledwie wyprostować. Dawniej służył on do tego, aby kości, których się zemleć nie dało, tam wpadały. Tuż przy otworze znajdowała się gruba zasuwą; gdy się ją odsunęło, otwierało się równocześnie rurę, wiodącą do pobliskiej rzeki, a otwór zaraz wypełniał się wodą. Za odsunięciem drugiej zasuwki otwierało się rurę przeciwną, do kanału wiodącą i woda wypływała znowu razem z kośćmi.

Od paru lat jednak młyn stał cicho. Stara Wildingowa nie chciała dalej prowadzić interesu, gdy męża jej zamknięto w kryminalu. W całej dzielnicy opowiadano sobie o tym młynie najrozmaitsze rzeczy i kto mógł, omijał go zawsze zdaleka, choćby mu nawet kawał drogi dokładać przyszło. Chodziły wieści między ludem, że nawet dawniej, nawet za życia starego Wildinga, młyn ten był straszliwą jaskinią. Zwabiano doń ludzi, ale zazwyczaj żaden ze zwabionych nie przekroczył już progów młyna z powrotem. Opowiadano sobie po cichu, że młynarz i jego żona, której zresztą nie nazywano nigdy inaczej, jeno czarownicą, obrabowywali swoje ofiary, a potem męli je razem z kośćmi. Opowiadano sobie nawet straszną historię, która podobno miała zajść w młynie zaledwie przed pięciu laty.

Mówiono mianowicie, że stara Wildingowa miała być córkę, która pięknnością przewyższała jeszcze swego brata i w przeciwieństwie do mieszkańców młyna była bardzo dobrą, bardzo uczciwą dziewczyną. Miała długie, krucze, hebanowe włosy, przesłizne czarne oczy, a jej mała twarzyczka wyglądała, jakby wycięta z jakiego obrazu Murilla. Kochało się w niej bardzo wielu młodych, starano się o nią powszechnie, ale ona wszystkim dawała kosza.

Wildingowa, nie wiedząc już, co robić, zaczęła na nią kłąć.

Zosia nic na to wszystko nie odpowiadała. Pewnego dnia jednak i ona straciła swoje serduszek. Zabrał je młody, piękny, jak marzenie, artysta malarz, którego przypadkiem spotkała na ulicy i który do niej kilka słów zagadał.

I od tej chwili, kiedy sobie oboje po raz pierwszy spojrzeli w oczy, poznali, że dusze ich do siebie należą, że związał je społem potężny węzeł — miłości szczerej, prawdziwej miłości.

Kiedy jednak malarz oświadczył jej, że pójdzie do jej rodziców i poprosi ich o jej rękę, prosiła go Zosia:

— Nie chodź do nich, proszę cię. Za kilka dni ja będę już pełnoletnią i pójdę z tobą, gdzie zechcesz. Ale nie chodź do nich, bo nie chcę, żebyś ich poznał nawet. Błagam cię o to!

Nie rozumiał jej dobrze. On, jednak, ubóstwiany przez matkę, niedawno zmarłą, nie mógł sobie wyobrazić, że jego uroczą kochankę ma złych rodziców. Postanowił więc nic jej nie mówić i odwieźć ich.

I poszedł tam pewnego dnia, wiedząc, że Zosi o tej porze niema. Zobaczywszy jednak młynarza i jego żonę, stracił rezon, zląkł się nawet i udał, że przyszedł załatwić pewien interes do młyna.

Oczy starej Wildingowej wpiły się formalnie w rękę młodzieńca, który nosił na palcu prześlizczony dyamentowy pierścień, najdroższą pamiątkę po matce. Stara dała więc młynarzowi jakiś znak i oboje wyszli z pokoiku.

Naraz, w chwili, kiedy już malarz zaczynał żałować, że nie usłuchał Zosi i wbrew jej woli poszedł do młyna, z przeciwnych drzwi wybiegł stary Wilding i pchnął go sztyltem w plecy, tak, że młodzian zwał się odrazu jak kłoda na ziemi. W tej samej chwili powstał przy drzwiach jakiś hałas. Zdawało się, że ktoś chciał przemocą wdrzeć się do pokoju, ale wstrzymywała go młynarka. Już morderca oglądał się za miejscem, gdzieby się mógł bezpiecznie ukryć, bo trupa usunąć nie mógł, gdy drzwi się nagle otworzyły i do pokoju wpadła Zosia.

Przez sekundę stała jak oszołomiona, utkwivszy wzrok w śmiertelną białoską pokrytą oblicze ukochanego, potem rzuciła się z przeraźliwym krzykiem na trupa. Krzyk ten słyszano w całym sąsiedztwie.

Potem zerwała się jak zraniona tygrysica, rzu-

ciła się na matkę i chciała ją udusić. Z trudem udało się młynarzowi wydrzeć żonę z rąk córki, która nagle z bólu zwaryowała.

Historię tę opowiadał jeden z czeladników, ale kiedy go policja zawezwała, aby to wszystko potwierdził, znikł gdzieś nagle bez śladu. Młynarza i jego żonę uwięziono, z braku dowodów jednakże musiano ich wkrótce wypuścić.

Co się stało z piękną Zosią, o tem nikt nie wie. Ludzie twierdzą, że stara czarownica musiała ją zemleć razem z kośćmi, inni znów głoszą, że widzieli ją pokrwawioną w jednym z okien piwnicznych.

Detektyw Stein leżał jak trup na twardych, sekacyjnych dylach. Jak długo leżał nieprzytomny, tego sam nie wiedział. Dopiero kiedy przyszedł do siebie, uczuł straszliwy, palący mu wnętrzości ból, tak wielki, że o mało nie zaczął krzyczeć. Dotknął się czoła — spływała po niem jakaś lepka ciecz — musiał sobie porządnie rozciąć czoło, skoro krew spływała mu ciurkiem po policzkach. Chciał się podnieść, ale upadł z krzykiem na ziemię. Zdawało mu się, że sobie wszystkie kości pogruchotał. Zaczął więc kłąć samego siebie, że się dał podejść kobiecie i przez własną nieostrożność wpadł do tego dołu, z którego nie było sposobu uciec.

Ale do wszystkiego, nawet do bólu, można się przyzwyczaić. Udało mu się w końcu wyjąć z kieszeni zapalniczki. Widział już wprawdzie, gdzie się znajduje, ale nie przeczuwał nawet, że to miejsce wprost straszliwe.

Każdy ruch, choćby najmniejszy, sprawiał mu niewypowiedziany ból. Opanowało go znużenie i takie osłabienie, że był przekonany, iż zbliża się już jego ostatnia godzina. Zdawało mu się, że z każdej szczeliny, z każdego zakątka, wyglądają ku niemu łysy, dzwoniące szczękami trupie czaszki.

— Jeszcze mnie nie dostaniesz, kostusiu — szeptał rozognionem od febrzy wargami — przecież to byłoby skandal, gdybym ja umarł przez własną nieostrożność i przez podstęp tej starej jędzy.

Przypomniał sobie, że ma w kieszeni fiaszeczkę koniaku. Wyjął ją i napił się trochę. Uczuł zaraz, że nowe siły weń wstąpiły.

Jedynie dzięki temu, że był przebrany i że sobie zrobił ze starych szmat pokaźny garb, bo przyszedł do Wildingowej jako stary, zgarbiony już człowiek, żył jeszcze. Bo gdyby nie to, byłby sobie odrazu wszystkie kości pogruchotał na sekacyjnych dylach.

Ale jak długo by to wszystko trwało, wiedział jednak, że ostatecznie musi zginąć, bo z tej pułapki wyjścia nie było. Nie mógł nawet marzyć o wydrapaniu się na górę i ucieczce, bo oślizgłe ściany nie pozwalały się uczepić, zresztą Stein był człowiekiem niezbyt wysokim. Sama myśl o tem, że w tej norze musi umrzeć i to najstraszniejszą śmiercią, bo śmiercią głodową, przyprowadzała go do szaleństwa.

Naraz — wyteżył słuch. Zdawało mu się, że ktoś podniósł zdradliwą przykrywą otworu. Słuchał z coraz większym napięciem. — Nie, to nie złudzenie. Ponad nim rozbrzmiewał suchy, ochryply głos starej Wildingowej.

— Tak, mój chłopcze! Pomścij twój ojca! Ten drab, który mnie męża odebrał i wtrącił do więzienia, leży tu pogruchotany. Otwórz zasuwę! Niech wypłynie woda i wyniesie jego trupa do kanału!

— Jeszcze nie, matko — dał się słyszeć jakiś męski głos, którego dźwięk zelektryzował detektywa.

— Wielki Boże! — szepnął Stein — gdzie ja ten głos słyszałem?

Nie miał jednak czasu, aby się nad tem zastanawiać, bo mężczyzna ów na górze mówił dalej:

— Za godzinę dzieło zemsty będzie skończone. Rzucę tam jeszcze coś, co powinno zniknąć na zawsze z oczu ludzkich

W tej chwili usłyszał detektyw, że coś koło niego spadło, a spadło mu wprost na twarz. Podniósł rękę — było to coś bardzo lekkiego, prawdopodobnie jedwabna chusteczka. I znowu przykrywa zapadła, a uszu jego doleciał jeno odgłos kroków oddalających się dwojga łotrów.

— A więc stara ma jeszcze syna; musi to być nieodrodny synalek — mruczał detektyw, trzymając w rękę jedwabną chusteczkę. — Ale gdzie i kiedy ja ten głos słyszałem? Ten miękki, łagodny głos? Niema się jednak co nad tem namyslać. Zbrodniarz przecie wyraźnie powiedział, że wróci tu za godzinę, aby dzieła zemsty dokonać. Żeby